



2/2013 30/01/2013 cena 0zł
(w tym 0% vat)
www liceum.eu.org

POLSKA

Parapet



WSTĘPNIAK

Witamy w kolejnym numerze „Parapetu”. Od początku roku szkolnego uczniowie klasy II B (profil multimedialno-dziennikarski) w zespołach dwuosobowych uczestniczą w warsztatach dziennikarskich realizowanych we współpracy z portalem zw.pl. W każdą środę kolejne osoby udają się do redakcji, aby przez cały dzień pracować w terenie z kamerą i mikrofonem, przygotowując sondy uliczne, wywiady czy relacje.

Podczas praktyk dziennikarskich, nad którymi czuwają redaktorzy z zw.pl, uczniowie zdobywają nie tylko doświadczenie z zakresu pracy w mediach, ale uczą się także przełamywać własne ograniczenia czy nawiązywać kontakty z innymi ludźmi oraz instytucjami. Na kolejnych stronach gazetki przedstawiamy wypowiedzi młodych dziennikarzy, w których dzielą się wrażeniami po praktykach w zw.pl.



WYDARZENIE

Praktyki w zw.pl

Angelika Wojciech

Dzisiaj razem z Sabiną byliśmy na praktykach w redakcji portalu zw.pl. Nie raz słuchałyśmy o pracy dziennikarza, za to po raz pierwszy mogłyśmy same przekonać się jak to w praktyce bywa. Zadanie nie było łatwe. Dwie sondy, dwa artykuły i relacja z przedstawienia, a na wszystko 6 godzin. Wydaje się dużo, lecz każdej rzeczy poświęcić trzeba było dość dużo czasu, więc te sześć godzin minęło jak jedna.

Godzina 8:00 - nikogo nie ma.

Godzina 8:06 - pojawia się jeden z pracowników. Hmm... spóźnienia u dziennikarzy zdarzają się często, gdyż w ich dziedzinie każda minuta się liczy.

Zostałyśmy oprowadzone po redakcji i poznałyśmy wszystkich pracowników. Ekipa bardzo sympatyczna i sądzę, że dobrze im się ze sobą współpracuje.

Godzina 8: 24 - zabieramy się za układanie pytań do sond. Niby łatwa sprawa, ale to tylko pozory. Najpierw musiałyśmy przejrzeć wszystkie materiały na dany temat by mieć jakieś rozeznanie w sprawie, sięgnąć do dokumentów prawnych by nie strzelić jakiejś gafy.

Godzina 9: 13 - czas na artykuł. Najpierw zabraliśmy się za ten o okrutnym traktowaniu psów. Sprawiał nam on trochę trudności, dlatego zajęło nam to trochę czasu, a w sumie prawie godzinkę.

Godzina 10: 08 - kończymy pierwszą część artykułu i powoli zbieramy się do wyjścia by zrobić sondy.

Godzina 10: 35 - nasze liceum. Robimy sondę o ustawie, która ma zlikwidować niezdrową żywność ze sklepików szkolnych. W naszej szkole jest bardzo ciemno, więc operator kamery musiał posłużyć się lampą, by obraz był widoczny. Sądziłam, że będzie to łatwe zadanie, jednak się myliłam. Gdy tylko chwyciłam mikrofon i zobaczyłam czerwoną lampkę na kamerze przeżyłam szok. Nie wiedziałam, które pytanie zadać najpierw, które później, a na dodatek ciągle przejmowałam się tym jak wyglądam przed kamerą. Kolejnym kłopotem było dla mnie to, że wiele osób nie chciało odpowiadać na pytania, czułam się troszkę zbита z tropu, gdy ktoś odwracał się w drugą stronę, uciekał, w niektórych wypadkach nawet w biegu. Rozbawiła mnie sytuacja, gdy uczniowie chowali się w szatni, byleby tylko uniknąć odpowiedzi. Cieszę się jednak, że były też takie osoby, które wypowiedziały się i wcale nie były to jakieś popisy. Przynać też muszę, że młodzież gimnazjalna chętniej i odważniej udzielała wywiadu, niż młodzież licealna.

Godzina 10: 55 - sklepik szkolny. Chciałam też zadać kilka pytań pani sprzedającej w sklepiku, bo to głównie o jej miejsce pracy chodziło w sondzie. Trudno było namówić ją by odpowiedziała na te trzy pytania, lecz jestem z siebie dumna, gdyż mi się udało i zajęło nam to zaledwie pięć minut.

Godzina 11: 02 - O zdanie chciałam też zapytać naszą panią od biologii, lecz ta wymigała się tym, że jest pochłonięta prowadzeniem lekcji. Cóż... Klasa poradziłaby sobie sama podczas oglądania filmu, gdyby pani wyszła na trzy minutki.

Godzina 11: 05 - przed szkołą nagrywamy "setkę", czyli króciutki wstęp do sondy. Bałam się, że będziemy musieli to dublować kilkanaście razy, gdy przy pierwszym nagraniu zaczęłam się śmiać, no, ale dzięki Bogu tak nie było.

Godzina 11: 10 - udajemy się w kierunku rynku, gdzie zaczynamy nagrywać drugą sondę, a mianowicie tą o katowaniu psów. Sabina ma trochę poważniejszy temat, ale uważam, że wyszedł bardzo dobrze. Starsi ludzie chętniej odpowiadali na pytania i mieli dosyć dużo wiedzy by wypowiedzieć się. Niektóre starsze panie były bardzo empatyczne i miło się ich słuchało. A opowieść pani, która opowiadała o przytulaniu przybłąkanych

kotków była bardzo urocza. Dobrze, że oprócz tych ludzi, którzy katuszą zwierzęta, są też ich przeciwnicy. Godzina 11: 30 - znajdujemy się w gimnazjum nr 2. Pytamy tam kilku uczniów i pana woźnego, co sądzą o sprawie z psami, kilku kolejnych i nauczycielkę biologii o zdrową żywność. Gdy już to zrobiliśmy poszliśmy do auli zrobić relację z spektaklu. Przedstawienie kończy się około 12: 45, kiedy zabieramy się za przeprowadzenie wywiadu z jedną z Pań organizatorek.

Godzina 13: 03 - jesteśmy ponownie w redakcji. Mamy do dokończenia jeden artykuł + tytuł i drugi artykuł, którego w ogóle nie zaczęliśmy + tytuł. No i oczywiście pan Michał zabiera się za montaż, który na nasze szczęście nie znalazł się na naszej liście zadań:)

Godzina 13: 13 - mamy skończony pierwszy artykuł i trzy zdania nowego.

Godzina 13: 25 - mamy 6 zdań.

Godzina 13: 26 - stwierdzamy, że musimy ostro zabrać się do pracy.

Godzina 13: 48 - artykuł gotowy. Pozostaje tylko wymyślenie tytułów, co sprawia nam najwięcej trudności.

Godzina 13: 53 - „Brutalu czy Ci nie żal?” / "Hau hau!" / "Wschowa hau" / Brutalu czy Ci nie żal?" / "Brutalu czy Ci nie żal?". Sabina nie chciała zgodzić się na brutala.

Godzina 13: 58 - „Wschowskie hau" no i mamy tytuł oraz wszystko skończone przed czasem. Myślę, że nam się udało, choć z tekstów zadowolona nie jestem. Nie są takie nasze... Wydaje mi się, że każdy mógłby to napisać. Może słusznie, może nie. Przekonałam się dziś, że praca dziennikarza nie jest łatwa, nawet w takich małych miasteczkach. No, ale nie zniechęciło mnie to i dalej pójdę w tym kierunku, lecz bardziej odpowiada mi samodzielne pisanie tekstów. Pisanie tekstu razem z kimś innym jest przyjemne, lecz myślę, że nie jest to wtedy tak bogaty tekst. Gdybym te dwa artykuły napisała, wyglądałyby zupełnie inaczej. Myślę, że Sabina myśli podobnie i następnym razem tak zrobimy. Utwierdziłam się dziś w przekonaniu, że właśnie to chcę robić w życiu, choć wiem, że łatwo nie będzie. Ludzi chętnych do dziennikarstwa jest wielu, a pewnie niewielu osobom uda się wybić i stać się kimś, kim chcielibyśmy w przyszłości być. Wiem, że niejedno trzeba poświęcić by coś osiągnąć i wiem, że mnie to czeka.

Julia Wycichowska

Na początku roku szkolnego nasz wychowawca powiedział nam, że co tydzień, w każdą środę, dwie osoby będą chodziły na praktyki do zw.pl. Pomyślałam sobie wtedy, że to może być interesujące doświadczenie.

21 listopada nadszedł czas mojej praktyki. O 8 rano spotkałyśmy się z Asią przed drzwiami redakcji. Byłyśmy naprawdę zdenerwowane i odczuwałyśmy niepokój. Czekając na przyjście kogoś z pracowników rozmawiałyśmy o naszych tematach do sondy. Wybrałam problem lumpeksów, ponieważ wydawał mi się odpowiedni dla miasta Wschowa. Asia myślała nad tematem WDŻ-tu w szkołach. Kilka minut po godzinie ósmej zjawił się pan Adam Muszkieta. Oprowadził nas po wszystkich pomieszczeniach redakcji, a potem pokazał nam nasze miejsce pracy. Porozmawialiśmy o naszych tematach na sondy. Pan Adam Muszkieta dał nam kilka wskazówek i rad oraz wyznaczył nam czas do 9:30. W tym czasie miałyśmy za zadanie opracować pytania do sond, napisać krótkie artykuły i wymyślić tytuły. Wydawało nam się, że mamy mnóstwo czasu. Jednak te półtorej godziny minęło naprawdę bardzo szybko, na szczęście wyrobiłyśmy się ze wszystkim.

O 9:40 razem z panem Michałem wyruszyliśmy na miasto. Idąc w kierunku rynku dopiero poczułam zdenerwowanie i stres. Nie wiedziałam, czy podołam zadaniu w przepytывaniu obcych mi ludzi. Pierwszy zapytany pan chętnie udzielił nam wyczerpującej odpowiedzi. Przy trzeciej pytaney osobie stres zniknął, natomiast pojawił się problem z mikrofonem, dlatego musieliśmy wrócić do redakcji po zapasowy kabel. Po powrocie na ulice miasta kontynuowaliśmy przepytывanie ludzi. Większość na pytanie czy chodzą do lumpeksów odpowiadała, że nie. Z racji tej, że sama często tam goszczę i jest naprawdę dużo klientów, zdziwiło mnie to. Może nie trafiałam na odpowiednich ludzi. Niektórzy za wszelką cenę unikali udzielenia odpowiedzi tłumacząc, że nie mają czasu. No cóż... Zmierzaliśmy w stronę Staszica, aby Asia mogła przeprowadzić swoją

sondę. Zdziwiło mnie to jak uczniowie Zespołu Szkół reagują na nasz widok. Jedni po prostu uciekali, inni odwracali się do nas tyłem mając nadzieję, że nie podejdziemy. Na szczęście znalazły się nieliczne osoby, które chętnie lub mniej chętnie odpowiedziały na pytania zadane przez Asię. Następnie ruszyliśmy w stronę jednego z lumpeksów 'Oskar'. Tam miałam zamiar nagrać setkę do swojej sondy i przeprowadzić krótki wywiad z ekspertem, którym miała być ekspedientka. Niestety żadna z pań sprzedających w sklepie, mimo naszych próśb, nie zgodziła się odpowiadać. Nagraliśmy więc setkę i poszliśmy do Zana. Tam przepytałam paru uczniów czy chodzą do lumpeksów. Wydaje mi się, że nikt nie chciał się do tego przyznać. Później poszliśmy do kolejnego lumpeksu spróbować szczęścia z ekspedientkami. Udało się.

Właścicielka sklepu z odzieżą używaną zgodziła się na wywiad. Ucieszyło mnie to. Myśląc o tym, aby wypaść jak najlepiej znów pojawił się stres. W czasie zadawania pytań plątał mi się język i miałam trudności z ułożeniem poprawnego zdania, na dodatek po skończeniu wywiadu operator kamery powiedział, że przez cały czas włosy zakrywały mi twarz. Chciałam nagrać wywiad jeszcze raz, ale odpuściliśmy i wróciliśmy do redakcji. Podczas gdy pan Michał montował nasze sondy miałyśmy czas na przekąszenie czegoś i dopracowanie naszych artykułów. Gdy nasze sondy były gotowe pan Michał pokazał nam je i zapytał czy chcemy coś zmienić. Nie chciałyśmy. Czas naszych praktyk powoli dobiegał końca. O 14:00 podziękowaliśmy sobie za współpracę i opuściliśmy redakcję.

Myślę, że dopiero takie praktyki pozwoliły nam zobaczyć jak naprawdę wygląda praca dziennikarza i że nie jest to wcale łatwe zadanie, jakie mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka. Mnie osobiście bardzo się podobało, zaskoczyła mnie uprzejmość dziennikarzy pracujących w redakcji. Z panem Michałem chodząc po mieście mogłyśmy porozmawiać na różnorodne tematy, nie tylko dotyczące dziennikarstwa, co spowodowało, że stres zniknął, a my czułyśmy się swobodnie. Teraz wiem już, że swoją przyszłość chcę powiązać właśnie z dziennikarstwem.

Michalina Kubacka

Wraz z rozpoczęciem roku szkolnego wychowawca poinformował nas, że każdy będzie miał możliwość sprawdzenia się w roli dziennikarza i uczestniczenia w zajęciach praktycznych w redakcji zw.pl. Po tej wiadomości czułam strach i jego obecność towarzyszyła mi aż do dnia, w którym udałam się razem z Emilką na praktyki.

16 października, podczas jednej z lekcji, dowiedziałyśmy się, że następnego dnia czekać na nas będą zajęcia w redakcji. Przestraszyłyśmy się i na samą myśl o podjęciu praktyk zastanawiałyśmy się czy jest jakaś możliwość, aby ich uniknąć. Z drugiej strony chciałyśmy mieć to już za sobą. Mój wieczór był niespokojny i pełen stresu. Zastanawiałam się czy podołam wymaganiom i poradzę sobie w roli dziennikarza. Następnego dnia, o poranku spotkałyśmy się z Emilką pod drzwiami redakcji. Stojąc przed budynkiem czułyśmy się niepewnie i trzęsły nam się nogi, nie tylko z zimna. Po niespokojnej nocy zdenerwowanie nadal nas nie opuszczało. W okolicach godziny 8:00 zjawił się redaktor naczelny zw.pl i przedstawił nasze miejsce pracy oraz oprowadził nas po wszystkich pomieszczeniach budynku. Później przedstawił nam wstępnie tematy nad którymi pracowałyśmy. Uzupełniał informacje przydatnymi dla nas wskazówkami przez następne pół godziny, aby pomóc nam w pracy. My sporządzałyśmy notatki i spoglądałyśmy na siebie przestraszonym wzrokiem. Po takim wstępie zajęłyśmy się tematem dotyczącym rozgrywek paintballowych w I Zespole Szkół im. Stanisława Staszica, który od razu wydał się być interesujący. Przy tym zadaniu pojawiła się komplikacja. Nie miałyśmy wyboru i musiałyśmy zatelefonować do szkoły, w której miały odbyć się zawody, co wiązało się z dodatkowym stresem. Wybór padł na Emilkę. W tym czasie znalazłam informacje na temat rozgrywek paintballowych w internecie i rozpoczęłam pisanie artykułu. Emilka skupiła się na pytaniach do organizatorów manewrów w liceum i sondy ulicznej na temat działalności kina we Wschowie. Pierwsza godzina minęła niewiarygodnie szybko. Do redakcji przychodzili kolejno różni pracownicy, mile witając się z nami. Około godziny 10:30 ukończyłyśmy wstępy naszych

artykułów, pytania do wywiadów oraz sondy. Byliśmy zdziwione, że miałyśmy czas na odpoczynek. Jednak był on krótki i zaraz po nim wybrałyśmy się do liceum w celu sfilmowania wydarzenia jakie miało tam miejsce dla uczniów szkoły. Ze względu na to, że impreza składała się z dwóch części, zaraz po obecności w szkole przemieściliśmy się do parku wolsztyńskiego. Czas mijał niesamowicie prędko, a nam została jeszcze do przeprowadzenia sonda uliczna. Po skontrolowaniu czasu w mgnieniu oka znalazłyśmy się razem z panem Michałem na ulicach miasta. Emilka po wizycie w liceum nie miała już problemu z wystąpieniem przed kamerą, więc zadawanie pytań obcym ludziom nie sprawiało jej kłopotów. Jednak zaczepianie przechodniów okazało się krępujące. Niektórzy ludzie odpowiadali chętnie, ale zdarzali się tacy, którzy w zabawny sposób unikali kamery lub kategorycznie odmawiali uczestnictwa w sondzie. Udaliśmy się również do naszej szkoły, gdzie odpowiedzi na zadane pytania udzieliła nam pani wicedyrektor Joanna Ociecek oraz kilku przypadkowych uczniów. Podczas sądy pojawił się problem, z którym trudziłyśmy się do końca. Mikrofon utrudniał nam pracę i odmawiał posłuszeństwa. Nikt do końca nie wiedział co się dzieje, a głos wciąż zanikał. To było zastanawiające i momentami dobijające. Na szczęście większa część wypowiedzi została nagrana. Po powrocie do redakcji zorientowałyśmy się, że zostało nam niewiele czasu, a do ukończenia były jeszcze dwa artykuły. Na dodatek okazało się, że pominięta została setka, którą miałyśmy nagrać do sondy ulicznej. Emilka wróciła na ulice miasta pl w celu uzupełnienia materiału, a ja kończyłam w napięciu dwa artykuły. Po przepisaniu ich na komputer uznaliśmy naszą działalność na zakończoną. Niestety nie zdążyłyśmy uporać się ze wszystkim do godziny 14:00, ale podjęta próba zajęć praktycznych podobała nam się.

Emilka bardzo dobrze sprawdziła się w roli reportera i wystąpienie przed kamerą nie stanowiło dla niej żadnego problemu, a mi miło pracowało się na stanowisku kamerzysty, gdyż wzbraniałam się wystąpienia jako reporter. Przeżyte doświadczenia pomogły nam w pokonaniu strachu i lęku przed wyzwaniem. Wrażenia, jakie odniosłyśmy po praktykach, są jak najbardziej pozytywne :)

Norbert Czechowski

Wyszliśmy przed redakcję. Zanim dołączył do nas pan Michał, który nas nadzorował improwizowaliśmy udawany materiał. Patryk udawał, że nagrywa, a ja mówiłem i wskazywałem ręką miejsca, gdzie powstanie trzecia linia metra, który budynek zostanie zburzony i w jego miejscu powstanie stacja kontroli itd. Człowiek, który szedł obok nas zatrzymał się i z niedowierzaniem spoglądał w naszą stronę. Miał dziwną minę.

Wsiadliśmy do samochodu i udaliśmy się w stronę szkoły Bohaterów Westerplatte. Miał przywitać nas Dyrektor Ratajczak karcąc zw.pl za to, że ostatnim razem dziennikarze wyszli przez scenę, a mieli wyjść tylnymi drzwiami i nie chciał by to się powtórzyło. Rozłożyliśmy sprzęt na sali gimnastycznej, gdzie miała odbyć się konferencja. Pan Michał powiedział poważnie: "Teraz bardzo ważna lekcja dziennikarstwa. Jeżeli są ciastka to jedzcie na początku, bo nie wiadomo czy na koniec zostaniecie poczęstowani". Posłuchaliśmy.

Miał być wywiad z panią Szablewską. Tylko nikt nie wiedział jak ta kobieta wygląda. Spytałśmy się pana Woźnego. Nie wiedział. Podszedłem do kobiety, która wyglądała na panią Szablewską i spytałem czy to ona. Udało się za pierwszym podejściem. Przeprowadziliśmy wywiad w miłej atmosferze. Dyrektor Ratajczak nie miał czasu odpowiedzieć na jedno pytanie, musiał witać gości. Nagraliśmy fragment gadających głów i poszliśmy na korytarz szkolny spytać dzieci o... rozdającego prezenty. Ogromna moc dzwonek nami wstrząsnęła. Rozpoczęła się przerwa. Dzieci wyszły z klasy, lecz gdy nas zobaczyły, zawróciły. Po chwili znalazł się pierwszy ochotnik. Za nim kolejny. Za kolejnym kolejny. Otoczyli nas. Byliśmy bez szans. Każdy chciał coś powiedzieć. Niektórzy wzięli nas za wywiad Świętego Mikołaja. Uczniowie chętnie odpowiadali. Kiedy mieliśmy wystarczającą ilość materiału nie chcieli nas wypuścić. Z trudem schodziliśmy po schodach. Dzieciaki nie odpuszczały. Było ciężko. W morzu małych istot błędziłyśmy jak zagubione okręty. Niewiele brakowało a zostalibyśmy zatopieni. Nawet na parterze nie byliśmy sami. Nauczyciele nad nimi nie panowali. Byli bezsilni. Jak ryby wobec sztormu. Zjawił się On! Pan

Woźny. Krzyknął! Wszystkie dzieci uciekły. Pamiętam ze swojego doświadczenia, że pan Woźny był jedyną osobą, której bałem się w podstawówce.



Wróciliśmy na salę gimnastyczną nagrać program artystyczny. Jedliśmy ciastka. Burmistrz poinformował pana Michała, że ma być zrobiony wywiad z panią Szablewską. Ha! Już to uczyniliśmy dawno! Na początku. Nie czekając aż dyrektor Ratajczak zechce poświęcić nam chwilę na wywiad opuściliśmy szkołę i pojechaliśmy zrobić sondę. Ja siedziałem z przodu. Patryk na tylnym siedzeniu samochodu...

REPORTAŻ

Liczą się buty, nie twarze

Sabine Urbaniak

Na podłodze pośród różnorodnych narzędzi, kartonów i małego plecionego stołeczka znajduje się sterta butów. Czuć intensywny zapach kleju, który drażni nos. Można znaleźć tu wszelkiego rodzaju buty: pantofle, kozaki, szpilki, mokasyny, sztyblety... Większość poustawiana jest równo na piętrzących się do sufitu regałach, niektóre rzucone niedbale w kąt czekają na naprawę. Pod ścianą widać maszynę do szycia i kopyto szewskie, a

na półkach kolorowe nici, kilka par nożyczek i skrawki materiałów.

Pan Przemysław został szwecem przez przypadek. Pomagał szwagrowi przy pracy i mimo, że zawsze chciał być stolarzem, zaczął dorabiać jako szwec. I tak już zostało. Założył własną firmę i od 12 lat reperuje buty. Uważa, że tego typu zawód jest niewdzięczny, ale można przy tym nieźle zarobić. To zależy od sezonu. W porze jesienno-zimowej zawsze jest więcej pracy. W zakładzie znajduje się od 200 do 300 par butów, za to latem zaledwie 70. Tyle, ile butów się naprawi, tyle się zarobi, choć oczywiście zdarzają się sytuacje, kiedy ludzie nie odbierają obuwia. Wtedy po trzech miesiącach ulega ono likwidacji. Niewielki zarobek jest z naprawiania torebek czy pasków, które także można zreperować przy pomocy narzędzi szewskich. Niekiedy tygodniowo można zyskać nawet 1000 zł, ale są i takie dni, gdy w portfelu jest pusto. W małym mieście, takim jak Wschowa, ciężko się utrzymać. Szwec to zawód na wymarcu, w niektórych krajach nie ma już go wcale.

Pan Przemysław naprawia też buty z innych państw, na przykład z Niemiec. Tam szweców jest niewielu, a często naprawa obuwia znacznie przekracza jego wartość. Dlatego bardziej opłaca się reperować je w Polsce, ale i tak większość ludzi woli kupić nową parę, niż naprawić starą. Większość butów w zakładzie to szpilki bądź koturny. Mężczyźni znacznie rzadziej korzystają z usług szewskich. Zdarza się, że niektórzy z klientów są nieco namolni, "na swój sposób każdy jest upierdliwy" mówi pan Przemek, zapalając papierosa. Jego syn Dawid, jak na razie nie okazuje większego zainteresowania tym zawodem. Czasami odwiedza swojego tatę w pracy, ale "nie pali się do tego, żeby zostać szwecem". Dzisiaj prawie nie ma już szkół, w których można się uczyć prac rzemieślniczych, dlatego tego typu profesje przekazywane są z pokolenia na pokolenie.

Zakład pani Bożeny znajduje się w jej własnym domu. Trzeba zejść po schodkach na dół, gdzie mieści się mała pracownia, wielkości około osiemnastu metrów kwadratowych. Choć jej pierwotny zawód to cholewkarz, musiała przejąć fach męża, który wyjechał za granicę. Została więc szwecem "z potrzeby". Ma dwóch dorosłych synów, jeden z nich pomaga przy naprawie butów. Dzięki temu mogą zarobić więcej, bo dziennie naprawiają po 10-20 par. To zależy od tego, co w danym bucie trzeba odnowić. Przez te kilka lat, kiedy technologia poszła naprzód, szycie ręczne zastępuje maszyna, bez której żaden szwec się dzisiaj nie obejdzie. Zdecydowania większa ona szybkość i jakość pracy, ale trzeba liczyć się z tym, że mogą zdarzyć się przy niej różne wypadki, co przytrafiło się ostatnio pani Bożenie. Przeszyła sobie palca. Na wylot. Igła przeszła na drugą stronę, ale to żaden problem. Wystarczy ją cofnąć, zakleić ranę plastrem i pracować dalej. Bo czas to pieniądz.

Oprócz butów, pani Bożena reperuje różnego typu rzeczy: od torebek, po tapicerki samochodowe czy nawet żagle. Dzięki temu nowych klientów wciąż przybywa, a starzy powracają ponownie. Czasami zdarza się, że obuwie nie zostanie odebrane i przez dłuższy czas leży w składziku. Po jakimś czasie, kiedy właściciele się nie zgłaszają, pani Bożena po prostu je rozdaje lub oddaje osobom potrzebującym. Mówi, że biednych jest sporo i chociaż w taki sposób może im pomóc. Do zakładów przychodzą różni ludzie, młodzi i starzy. Niektórzy z nich to "brudasy", czyli tacy, którzy przynoszą do naprawy, brudne, obłocone obuwie. Przeważnie są to młode dziewczyny lub studentki. Znacznie czystszy są panowie, oni prawie zawsze mają schludne buty, mówi pani szwec. Określa ten zawód jako "śmierdzącą robotę", bo buty, w których ktoś chodzi codziennie, czasami nawet przez kilka lat, nie pachną zachęcająco. Pomimo tego typu niemiłych sytuacji, pani Bożena lubi swój fach. Największą satysfakcją sprawiają jej pochwały za mistrzowsko wykonane zadanie. Nie oszukuje ludzi i nie naraża ich na niepotrzebne koszty. Niekiedy pogawędzi przez chwilę, porozmawia. Rzadko rozpoznaje ludzi z twarzy, ale wie, kto jakiego buta oddał jej do naprawy. Bo liczą się buty, a nie twarze.

REPORTAŻ*Sami w domu***Karolina Julia Widera**

„Do widzenia”

Niedziela, szósta rano. Asia budzi się, słyszy jakieś hałasy. To Monika, jej mama, szykuje się do wyjazdu do pracy. Widzi jak pakuje swoje ubrania, kosmetyki, jak torby porzucane są po całym pokoju. Robi to po cichu, tak aby nie obudzić swojej śpiącej córki. Nie wie, że dziewczyna już od kilku minut nie śpi, nasłuchuje kroków matki. Słyszy jak ta popijając poranną kawę w kuchni dyskutuje ze swoją mamą. Śmieją się, plotkują. Nagle drzwi od jej pokoju otwierają się, wchodzi Monika. Tuli ją do siebie, całuje i żegna jednocześnie. Asia spotka ją dopiero za 7 tygodni, na święta Bożego Narodzenia.

Wychodzi z pokoju, widzi jak jej babcia, Marysia, krząta się po kuchni gotując rosół, a dziadek Stasiu śpi w dużym pokoju, w fotelu przy włączonym telewizorze, gdzie jak co tydzień ogląda niedzielne programy śniadaniowe. Wstawia wodę na kawę i robi kanapki. Wraca do pokoju. Włącza laptopa, czatuje. Jej mama już od 5 lat wyjeżdża zagranicę. Wcześniej, w Polsce pracowała jako krawcowa. Jednak z czasem, kiedy jedyna córka dorastała podjęła pracę w Niemczech, w pieczarkarni. Asia przyzwyczaiła się do sytuacji. *Wiem, że mama musi wyjeżdżać, ale przecież nie powiem, że nie chcę, robi to dla mnie.*

Mieszka z dziadkami i ciocią, więc nie czuje się samotna. Ma przecież wokół siebie znajomych, przyjaciół. Czas leci szybko, wie, że już niedługo spotka się z nią. Co dwa dni Asia rozmawia z mamą przez telefon. Dyskutują bardzo długo. Opowiadają sobie jak przeżyły ostateczne dni, co się u nich dzieje, czym się smucą. Wspólnie odliczają dni do kolejnego przyjazdu. Chodź dziś ma dopiero szesnaście lat nauczyła się samodzielnie żyć, podejmować odpowiedzialne decyzje. Dzięki pracy mamy ma teraz to co chce, co jest jej potrzebne. Wie, że Monika robi to wszystko dla niej.

"Kocham Cię "

Pamela chodzi po pokoju z telefonem przy uchu. Dzwoni jej mama, Ewa. Od 6 lat pracuje za granicą. Śmieje się do siebie. Opowiada mamie o swoim dniu w szkole. Dziś po raz pierwszy dostała czwórkę ze sprawdzianu z matematyki. Dziewczyna nigdy nie była z niej dobra, dlatego tak bardzo cieszy się z oceny. Gestykuluje, chodzi żwawo po pokoju, domu. To wchodzi do kuchni, pokoiów a nawet do łazienki. Rozmawiają ze sobą już ponad pół godziny. Tak dzieje się zawsze, w piątkowe wieczory mama dzwoni do niej i rozmawiają, ogólnie, co się w ich życiu dzieje.

Pamela zaczyna kłócić się z mamą. Ewa nie zgadza się, aby dziewczyna poszła na zabawę andrzejkową wraz z koleżankami do pobliskiej wioski. Zdenerwowana, rozłącza się, rzuca słuchawkę na tapczan. Telefon dzwoni jeszcze raz. Po kilku sygnałach odbiera. Zamyka się w swoim pokoju. Rozmawiają, to pewne, chodź już nie tak ostro jak wcześniej. Na koniec przypomina mamie, aby nie zapomniiała kupić jej ulubionych pistacji. Po chwili Pamela podchodzi do babci, jeszcze dopowiada *Kocham Cię* i oddaje słuchawkę.

Pomiędzy Pamelą a Ewą jest specyficzna więź. Kobieta sama wychowuje dziecko. Chodź obydwie mają podobne charaktery i często między nimi dochodzi do kłótni, to dziewczyna wie, że zawsze może liczyć na swoją matkę, w każdej sytuacji. Tym razem Ewy nie będzie na święta, już po raz kolejny od czasu jak pracuje w Holandii. Wszystko zaczęło się od krótkiego wyjazdu do Hiszpanii, do pracy w sadzie. Teraz jest pracownikiem firmy "Albert Heijn".

Pomimo, że Pamela ma już prawie osiemnaście lat nadal nie może się do tego przyzwyczaić, choć rozumie wybór mamy. Mają ze sobą stały kontakt telefoniczny. Cieszy się kiedy wraca. *Co do odjazdów, to zależy. Kiedy się przed tym pokłócimy, to w duchu cieszę się, że wyjeżdża, ale tak bardzo mi szkoda.* Najbardziej boli ją to, że nie ma jej przy niej kiedy ma problem. Nauczyła rozwiązywać je sama. Kilka lat temu, kiedy skończyła podstawówkę mama chciała ją zabrać do siebie. Nie zgodziła się. Nie chciała opuszczać dziadków, przyjaciół, szkolnych znajomych. Wie, że kiedy nie ma mamy w domu sama musi pomagać dziadkom. Babcia choruje. Opiekuje się nią jak może. Nie chce ich teraz tak zostawić.

Chodź mieszka tutaj, w Polsce, nie odrzuca myśli o wyjeździe. Pragnie zdobyć zawód kucharza i jeżeli nie uda się jej znaleźć pracy na miejscu nie zawaha się wyjechać do mamy i pracować razem z nią, za granicą.

"Dzień dobry"

Ktoś puka do drzwi, zaspana Anulka otwiera zamki i widzi jak przed nią stoi jej tata, zatarasowany torbami. Właśnie wrócił z trzymiesięcznego wyjazdu. Artur wraz ze szwagrem mają własną firmę budowlaną, w której zatrudnieni są też inni pracownicy z Polski. Nie zważając na przeszkody, dziewczynka rzuca się w ramiona ojca i przytula go mocno. Nie odrywa się od niego. Trzyma go w ramionach. Artur, tata Ani, lekko odciąga od siebie stawia na ziemię, całuje ją jeszcze raz w policzek i idzie obudzić żonę i Dorotkę, drugą córkę. To była niespodzianka.

Nikt nie wiedział, że tego dnia Artur wróci do domu. To nic, że za oknem jeszcze szarawo, dziewczyna teraz już nie zaśnie. Bawi się z psem Kalą, w czasie, kiedy rodzice rozmawiają w kuchni. Niepozornie, pod pretekstem wchodzi do kuchni i przytula się do ojca, jeszcze raz. Tata woła córki do siebie. Bierze z kieszeni skórzany portfel i wyciąga banknoty. Pierwsza Ania. dostaje od niego 100 zł na "różne wydatki". Za te pieniądze ma zamiar kupić kolejną część gry komputerowej.

Chodząc po kuchni, po cichu otwiera kolejne, obszerne torby, a w niej cała paczka przeróżnych holenderskich słodyczy. Cukierki, wafelki, czekolady, napoje. *Kiedy tata jest w domu jest śmiesznie.* Po przyjeździe Artura całą rodzina zostają w domu. Zamawiają pizzę, jedzą serki i oglądają filmy, wszyscy razem. W soboty zazwyczaj wyjeżdżają na rodzinne zakupy lub wycieczki.

Kiedy Andzia była mniejsza raz wszyscy razem wybrali się do Czech. Bardzo dobrze pamięta tą podróż. Był ich to pierwszy, rodzinny wyjazd. Dziewczynki wróciły z siatką pamiątek i mnóstwem rzemyków na ręce. Czasami jednak po prostu tata zabiera je na zakupy do pobliskiego sklepu i kupuje wszystko to co dziewczyny sobie wybiorą, później idą na spacer, na plac zabaw. Nazywana przez tatę Andzia Fancia, to najmłodsza z córek Artura i najbardziej przez niego rozpieszczona jak mówi rodzina.

Dziewczyna nie lubi kiedy tata wyjeżdża, choć sama namówiła wujka, żeby zabrał go ze sobą. Kiedyś było gorzej, kiedy miałam 6 lat, mocno płakałam kiedy tata wyjeżdżał. *Kiedy wychodził z domu, biegłam do swojego pokoju i przytulałam się do misia lub mamy i leżałam tak przed dłuższy czas.* Kiedy tata dzwonił, nie chciała z nim rozmawiać. Już sześć lat opuszcza ich, aby zarabiać na ich utrzymanie. Teraz kiedy dziewczyna jest starsza przeżywa to inaczej, choć kiedy opowiada o tym, płacze. Nie chce, żeby tata wyjeżdżał, lecz jest świadoma, że nie może mieć go tutaj przy sobie, nie teraz.

WYDARZENIE**Szkolne przedsiębiorstwo****Dominika Miś**

Fundacja Młodzieżowej Przedsiębiorczości od kilku lat organizuje program skierowany do klas szkół ponadgimnazjalnych. Polega na stworzeniu firmy, wprowadzeniu jej na rynek i zarządzaniu nią. Ma na celu przygotowanie młodzieży do funkcjonowania w gospodarce rynkowej, pomocy w zdobywaniu wiedzy i ułatwieniu realizacji planów zawodowych. Nasze liceum zgłosiło swój udział w tym programie, a konkretnie kilkanaście osób z pierwszej klasy politechnicznej. *Wszystko polega na tym, żeby wziąć udział w tym przedsięwzięciu, szkoła sama musi się do niego zgłosić, wtedy jedziemy na szkolenie. Ja już po takim jestem, więc od 15 września rozpocząłem rekrutację* – mówi Pan Robert Pluta, koordynator 12-osobowej grupy uczniów biorącej udział w programie. Podstawową zasadą tego projektu jest założenie firmy, jak również nadanie jej nazwy. Nasi uczniowie zdecydowali się na „Krajinę Cudów”. By jej prowadzenie było łatwiejsze, wyznaczono konkretne osoby na kilka stanowisk. Dyrektorem naczelnym jest Konrad Królikowski, finansami zajmuje się Daniel Jaskółka, sprawami związanymi z produkcją Ewa Majer, marketingiem Jacek Firlej, a sprawami organizacyjnymi Patryk Paszkowski.

W praktyce jest to odzwierciedlenie prawdziwego przedsiębiorstwa, ale działa ono na znacznie mniejszą skalę. Uczniowie sami wymyślają sposoby zarabiania pieniędzy, na przykład sprzedaż ciasta, produkcja ozdób świątecznych lub usługi w postaci udzielania korepetycji. Jak w prawdziwej firmie, prowadzona jest również księgowość, czyli przy sprzedawaniu towaru jest wystawiany rachunek. Generalnie jest to prowadzone na zasadach autentycznych, gdyż zarządzający „Krajiną Cudów” muszą naliczać składki ZUS, które przekazywane są na radę rodziców.

- *Chodzi o to, żeby nauczyć młodych ludzi, w jaki sposób działa przedsiębiorstwo. Tutaj w grę wchodzi prawdziwe pieniądze, uczniowie mogą naprawdę zarabiać. Głównym celem tego wszystkiego jest zysk, ale w praktyce chodzi też o naukę* – opowiada Pan Pluta – *Ja jestem tutaj tylko koordynatorem, to oni mają się wszystkim zajmować. Mogę im ewentualnie pokazać, w jaki sposób wypełnia się fakturę. Jednak przy prowadzeniu przedsiębiorstwa oni sami mają to uzupełniać* – dodaje.

Członkowie „Krajin Cudów” spotykają się w ramach tego programu po godzinach lekcyjnych, a swoją działalność będą prowadzić od 30 listopada 2012 do 30 kwietnia 2013.

WYDARZENIE**OSW Strzelec JS4047 Wschowa****Joanna Drzewiecka**

Wielu z nas widząc naszych umundurowanych kolegów zastanawia się, na czym polega organizacja do której należą? Z czym wiążą się te zajęcia i jaki jest ich cel? Kto może przystąpić do tej grupy i kiedy ona powstała? W swoim artykule postaram się opowiedzieć na te nurtujące pytania.

Organizacja Społeczno-Wychowawcza Strzelec oficjalnie powstała 1 maja 2012 roku. Dowódcą jednostki

jest Jan Koniuszko, nauczyciel PO i WOSu, posiadający stopień chorążego. OSW Strzelec to organizacja wzorowana na wojsku polskim, mająca na celu wychowanie młodych ludzi w duchu patriotycznym, podnoszeniu poziomu sprawności fizycznej oraz naukę zdyscyplinowanego życia w zespole.

Obecnie OSW Strzelec liczy 16 członków, z których większość stanowią kobiety. Jak mówi dowódca jednostki: „Kobiety mają taką naturę, że od zawsze były lepsze od mężczyzn w strzelectwie sportowym. Potrafią lepiej słuchać i są bardziej zdyscyplinowane, co przekłada się na wyniki.” Tak więc myśl, że OSW Strzelec jest przeznaczony wyłącznie dla mężczyzn jest zdecydowanie błędna. Męska część grupy nie ma nic przeciwko członkostwu kobiet w tej organizacji, a kobiety nie odczuwają braku tolerancji. Jak mówi starszy Strzelec Monika Jeż: „U nas tego po prostu nie ma. Nigdy nie czułam się dyskryminowana.” W OSW Strzelec każdy czuje się traktowany równo.



Aby zostać Strzelcem należy posiadać cechy takie jak zdyscyplinowanie, prawdomówność, szlachetność, sprawność fizyczna czy umiejętność funkcjonowania w zespole. Każda osoba, która przystępuje do OSW Strzelec, otrzymuje tytuł kadeta, którym jest przez kolejny rok. Jest to okres unitarny, który ma za zadanie pokazać, czy dana osoba nadaje się na członka tej grupy, ponieważ hasło OSW Strzelec brzmi: „Każdy może do nas przystąpić, ale nie każdy musi zostać”. Po okresie unitarnym kadet składa przyrzeczenie strzeleckie, dzięki któremu staje się Strzelcem i ma prawo do przyszycia na mundur łuczka strzeleckiego z napisem „Strzelec”. Przyrzeczenia strzeleckie można składać dwa razy do roku, 6 sierpnia oraz 11 listopada.

Kadeci, którzy jeszcze nie złożyli przyrzeczeń posługują się atrapami broni wykonanymi z drewna. Każdy nowy członek grupy przechodzi przeszkolenie, za które odpowiedzialny jest zastępca dowódcy, Wojciech Antkowiak.

Na zajęciach OSW Strzelec dominuje musztra. Każdy członek powinien bezbłędnie ją wykonywać. Poza tym odbywają się zajęcia praktyczne (strzelanie), taktyka zielona, czyli walka i umiejętność poruszania się w terenie otwartym, zalesionym oraz taktyka czarna – walka w terenie zamkniętym, umiejętność poruszania się w mieście, we wnętrzach budynków.

Z organizacją związane są różnego typu wyjazdy. Co najmniej raz na dwa miesiące członkowie OSW Strzelec jadą na strzelnicę. W ostatnim czasie w ramach zajęć grupa pojechała na strzelnicę do Puszczy oraz do Rydzyny na strzelnicę palną, gdzie między innymi mogli strzelać z Karabinu AK Kałasznikowa. OSW Strzelec brał również czynny udział w akcji mikołajkowej, gdzie pomagali potrzebującym.



Każdy członek OSW Strzelec powinien posiadać umundurowanie oraz buty, które można zakupić we własnym zakresie. Ponadto jeśli ktoś bardziej interesuje się wojskiem może zakupić między innymi kamizelki taktyczne czy hełm. Natomiast cała grupa posiada maski gazowe, pasoszelki i przydział bandaży.

Dzięki OSW Strzelec w członkach tej organizacji ukształtowały się istotne cechy. Jak mówi zastępca dowódcy, sekcyjny związku strzeleckiego, Wojciech Antkowiak: „Stałem się bardziej zdyscyplinowany, wyrozumiały i odpowiedzialny, ponieważ sprawuję pieczę nad podwładnymi. Poza tym na pewno jestem bardziej pewny siebie i odważniejszy.” Według niego każdy członek grupy powinien charakteryzować się systematycznością, dokładnością, wytrzymałością oraz posiadać motywację, ponieważ zawsze zdarzają się gorsze chwile.

Ważną częścią OSW Strzelec jest dowódca. Członkowie czują wobec niego respekt, ale mają również świadomość tego, że mogą na niego liczyć, ponieważ jest wyrozumiały.

Kacper Mika, zastępca dowódcy odpowiedzialny za logistykę, na pytanie o dowódcę odpowiada: „Dowódca Jan Koniuszko jest wymagający, ale zdajemy sobie sprawę, że składaliśmy przyrzeczenia mówiące o tym, że będziemy z chęcią wykonywać polecenia, więc musimy się tego trzymać.”

Wszyscy członkowie uważają, że OSW Strzelec jest potrzebną formą zajęć pozalekcyjnych, ponieważ kształtuje istotne w życiu cechy. Jak mówi kadet Mateusz Malcher, który należy do tej organizacji od września: „OSW Strzelec to zajęcia wymagające wyrzeczeń, ale nie żałuję, że biorę w nich udział”. Wojciech Antkowiak dodaje: „Wiążę swoją przyszłość z wojskiem, dlatego dzięki tym zajęciom czuję, że robię coś co lubię i jestem spełniony.”

WYDARZENIE

Letnia akademія

Norbert Czechowski

*„Jeżeli traktujecie Polskę, jak k..., od d... strony,
to później się nie dziwcie, że g... w rękach zostaje”*

Józef Piłsudski

Wjechaliśmy do Głogowa. Znaleźliśmy ulicę Sportową. Udaliśmy się do budynku, który miał stać się naszym zakwaterowaniem na najbliższe kilka dni. Weszliśmy ostrożnie. Rozejrzałem się dookoła i nagle z portierni doszły mnie słowa: *Jak z akademii to na 2 piętro*. Doszliśmy na wskazane miejsce. Długi ciemny korytarz otworzył się przed nami. Szliśmy do przodu, nie mając pewności, gdzie dojść mamy. Na drzwiach zauważyliśmy swoje nazwiska, wiszące obok nazwisk ludzi ze wschodu. Złapałem klamkę i pewnym ruchem zamierzałem otworzyć drzwi, kiedy usłyszałem kobiecy głos wołający: *na akademię?* Poszliśmy w kierunku krzyczącej niewiasty. Kazała wejść nam do pokoju. Bez chwili wahania spełniliśmy rozkaz. A może była to prośba? Zostaliśmy przywitani przez panią Kasię i panią Agnieszkę. Otrzymaliśmy instrukcję na najbliższe kilkanaście, może nawet kilkadziesiąt minut. Opuściliśmy pokój naszych opiekunek i weszliśmy w głąb korytarza. Zanim dotknąłem klamkę przeczytałem napis wiszący na drzwiach „Norbert Czechowski, Walery Sereda”. Wszedłem do pokoju spodziewając się ujrzenia współlokatora. Nie był sam. Towarzyszyła mu panienka, również z Ukrainy. Przedstawiła się jako Irena. Chwile zajęło mi zanim przyzwyczaiłem się do ukraińskiego akcentu i pojmowałem wszystkie słowa. Prawie. Byli to mili ludzie, trochę przestraszeni. Po chwili spokoju od Michała, znów ujrzałem go otwierającego drzwi. Nawet nie zapytał czy można tylko wszedł i przywitał się z przybyszami ze wschodu. Z uwagi, że jestem pokornym sługą bożym, nawet go nie wygoniłem. Niosłem swój krzyż w pokorze. Czekałem, aż zacznie narzekać, jednak nic z tego. Bał się obcych? Irena po chwili nas opuściła. Czyżby Michał, aż tak ją denerwował? Wyszedłem na korytarz, by zapoznać się z kolejnymi ludźmi mówiącymi językiem Puszkina. Okazali się towarzyszami z Litwy. Po chwili z mojego pokoju wyszedł Michał. Usiadł obok mnie. Rozmowa była dziwna. Nie lubię poznawania nowych osób, jednak miałem pewien cel. Wiem w jakich żyją warunkach, jeżeli chodzi o naukę i kulturę. Wiem, że sowiecki system nie pozwala im rozwinąć uczuć patriotycznych. Byli Polakami. Celem naszym, Słowian z nad Wisły były pokazać kolegom z za Buga jakimi wartościami się kierujemy. Swoją misję pojmowałem doskonale. Z chwili rozmyślań wyrwał mnie głos pani Agnieszki: *kolacja przełożona o 15 minut*. Czy wobec ogromu wszechświata 15 minut ma znaczenie? Podczas tej chwili oswoiliśmy się ze sobą. Napięcie, jakie towarzyszyło nam na początku opadło. Rozmowa nie była wcale męcząca, wręcz przyjemna. „Wy jeszcze nie na kolacji? Dalej, ruszać się!” zawołała pani Agnieszka. Udaliśmy się na dół. Prowadzili uczestnicy z Ukrainy. Oni wiedzieli gdzie jest stołówka, byli tu od nas wcześniej. Kolacja minęła szybko. Zaraz czekało nas spotkanie integracyjne. Zeszliśmy na dół, do świetlicy, gdzie mieliśmy się bliżej poznać. W tym momencie rozpoczęła się dla nas XIII Letnia Akademia Kultury i Języka Polskiego.

Pierwszy raz spotkałem się z takim imieniem, jak Arietta, czy Śnieżana, jednak te osoby najszybciej zapamiętałem. W miarę upływu czasu zapoznawaliśmy się coraz bardziej. Mój współlokator, Walery stawał się

coraz odważniejszy, aż w końcu pokazał swoją kozacką naturę. Dni mieliśmy całe zajęte różnymi zajęciami. Począwszy od zajęć sportowych na basenie, lub sali gimnastycznej, które dla osób nieprzystosowanych do wysiłku fizycznego były męką straszliwą, przez wykłady ciekawe i mniej ciekawe, do spotkań z osobami takimi jak Prezydent Głogowa. W ratuszu Walery szepnął mi do ucha: „W telewizji wasz prezydent wygląda inaczej, zupełnie jest niepodobny”, wytłumaczyłem mu, że nie jest to Bronisław Komorowski i zarys podziału administracyjnego. Ku mojemu zdziwieniu spotkanie z najważniejszą osobą Głogowa przebiegło w bardzo miłej atmosferze. Był to dialog, a spodziewałem się nudnego monologu. Kiedy wracaliśmy do swojej kwatery towarzysząca z Białorusi spytała mnie co sądzę na temat Związku Radzieckiego. Gdy usłyszała ode mnie odpowiedź, że dla Rosjan był to strzał w dziesiątkę zdziwiła się, że nie skrytykowałem tego w znany mój sposób i musiałem jej wytłumaczyć, że z naszej perspektywy były to złe. Jednak każdy władca (z wyjątkiem takich jak nasz Stanisław) kieruje się dobrem własnego narodu i średnio go interesuje krzywda drugiego.



Każda kolejna pobudka była trudniejsza. W nocy mało spaliśmy, czas spędzaliśmy na rozmowach, grach w karty, lub na oglądaniu filmów takich jak „Seksmisja”. Jakie były oczy uczestników ze wschodu, kiedy słyszeli ten tytuł. Czyżby ich wyobrażenia działała tak samo jak nasza?

Zupa jest dobra, jednak trochę zasłona, odpowiedział Sergiusz, nasz trzeci opiekun: *To nie ważne. Najważniejsze, żeby człowiek był dobry*. Powstało drugie hasło wycieczki. Pierwszym był cytat polskiego filmu: *Bunkrów nie ma, ale też zajebicie*. Posiłki były bardzo ważnym elementem wycieczki. Nie tylko dlatego, że były dobre. Rozmowa przy pierogach stawała się przyjemniejsza. Właśnie wtedy poruszaliśmy najbardziej inteligentne tematy. Do rozmowy włączała się często pani Kasia, która swoją wiedzą często rozjaśniała nam wiele sytuacji. W końcu studiowała stosunki międzynarodowe.

Sergiusz trenuje boks. Zechciał się z nami podzielić pewnymi *fokusami*, jak nazywali sztuczki uczestnicy ze wschodu. Na pierwszy trening boksu przyszli prawie wszyscy chłopacy. Grupa ponad dziesięcioosobowa. *Było ciężko. Jeżeli już nie możecie robić ćwiczenia, to krzyczcie*, ale ćwiczenie mówił Sergiusz. Faktycznie darliśmy mordercy. Pomagało? Tylko nieliczni przerywali ćwiczenia. Pomagało. Drugi trening, w deszczu, miał troszkę niższą frekwencję. Zostało nas trzech. Znowu było ciężko. Biegaliśmy po dworze jedynie w spodenkach. Komary gryzły jak szalone. *Tutaj w Polsce, są dzikie komary, u nas są tylko dzicy Litwini* mówił Eryk, zwany maskotką wycieczki,

kiedy po raz pierwszy spotkał się z polskimi krwio pijcami.

Spędziliśmy czas również poza Głogowem. Odwiedziliśmy muzea w Ochli i Drzonowie. Było ciekawie? W Ochli było dużo zwiedzania i przewodniczka opowiadała z pasją. W Drzonowie nie słuchałem przewodniczki. Było ciekawie.

Wieczorami uczyliśmy się pieśni patriotycznych. Na początku my, Polacy z Polski śpiewaliśmy najgłośniej, później reszta się z nami zrównała. Bardzo przyjemne zajęcia.

Podczas zajęć sportowych wybraliśmy reprezentację w trzech dyscyplinach (piłka nożna, siatkówka, koszykówka), która miała zmierzyć się z pracownikami muzeum. Sala były nieduża, jak boisko do siatki, więc w nogę w niej grać było ciężko. Za bramki służyły nam ławki. Czemu nie wyszliśmy na boisko obok? Dyrektor Lenarczyk ze względu na nasze zdrowie zdecydował, że temperatura jest za wysoka i gramy na sali, jednak jakby się ochłodziło i słońce zaszło, wyjdziemy na boisko. Pogoda spełniła te wymagania, jednak nie każdy jest zdolny, by zmienić swoją decyzję. W siatkówkę wygraliśmy. W piłkę nożną górą byli opiekunowie, pan Helwing, były gwiazda Chrobrego Głogów był nie do przejścia. W koszykówkę również wygrali nauczyciele, jednak ta dyscyplina najmniej mnie obchodziła.

Ostatni dzień przed spędziliśmy z marynarzami. Opłynęliśmy jezioro Sławskie, a następnie zawitaliśmy do pewnego bardzo miłego państwa. Nauczyliśmy się grać w kule. Jedliśmy grillowaną kiełbasę. Śpiewaliśmy szanty. Rodzinna, fantastyczna atmosfera.

Wyjazd z Głogowa mieliśmy o 5.00. Położyłem się spać tylko symbolicznie. Kiedy wyjeżdżaliśmy z Miasta Jagiellonów opinia moja o tym miejscu była zupełnie inna niż na początku. Pozytywnie zaskoczyłem się tym miastem. Autobus, był klimatyzowany, podróż mijała przyjemnie. Podczas drogi oglądaliśmy polskie filmy, z których dyrektor Lenarczyk miał nas później przepytać. Tak się tego obawiałem, że niekiedy aż zasypiałem podczas seansów.



Na początku odwiedziliśmy Kraków, dawną stolicę Polaków. Wijąca się Wisła była pierwszym widokiem jaki ujrzałem w tym mieście. Wawel sprawiał wrażenie ogromnego, w końcu taki był. Przywitaliśmy się z przewodniczką. Zwiedzanie rozpoczęliśmy od starego miasta. Spośród wielu nazw, jakie widziałem na kamieniach w pamięci został mi „Bar pod złotą cipką”. Jeden dzień na zwiedzanie miasta o tak bogatej z historii, a w dodatku nie zniszczonego przez beznarodowych nazistów to stanowczo za mało. Czasu starczyło, by zobaczyć jedynie zabytki z zewnątrz, w środku wciąż pozostawały dla nas tajemnicą. Mocną uwagę zwracaliśmy na charakterystyczne jezuickie dzieła architektury, o których wcześniej mieliśmy wykłady. Najbardziej jednak

podobał mi się pomnik Mickiewicza i to, że można było na niego wejść, bez obawy przed Strażą Miejską, czy inną instytucją dbającą o szczęście obywateli. Z rynku udaliśmy się na Wawel. Punkt kulminacyjny wycieczki. Odwiedziliśmy grób Prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego. Pani Kasia powiedziała *W tym miejscu mam spadek patriotyzmu*. Z krakowskiego zamku udaliśmy się do motelu, w którym mieliśmy spędzić najbliższą noc, było to prawie w samym centrum miasta. Odłożyliśmy torby i wyruszyliśmy na wieczorny spacer po dawnej stolicy Polaków. Jeżeli miałbym opisać Kraków jednym słowem, brzmiałoby to: „Smok”. Widok pomnika bestii ziejącej ogniem sprawił, że znów poczułem się jak mały chłopiec słuchający najlepszej z legend, czekający z niecierpliwością, aż Szewczyk zabije potwora. Kiedy grupa była już z przodu ja czekałem, aż jeszcze raz z paszczy gada wydobędą się płomienie. Dogoniłem grupę. Zmierzaliśmy w stronę dzielnicy żydowskiej. Była dokładnie taka jak ją sobie wyobrażałem. Każdy z nas wiedział od razu że doszliśmy na miejsce. Mieliśmy chwilę, by zwiedzić okolice, zjeść coś, napić się, lub po prostu czekać, aż upłynie czas wolny. Ja z Michałem i Pawłem, oraz Aliną i Elieną z Białorusi wybraliśmy się na lody. Żydowskie. Co było w nich żydowskiego? Nikt z nas nie widział. Może cena? Przecież to Kraków. Ostatnim punktem nocnego spaceru był rynek. W nocy wyglądał jeszcze wspanialej. Akurat trafiliśmy na odgrywane przedstawienie. Dookoła spektaklu było dużo ludzi, więc widok nie był szczególnie dobry. Na szczęście obok były pomniki lwów. Jeden był wolny, więc się na niego wdrapałem. Widok tańczących aktorów tak mnie wciągnął, że nie uwarzyłem, że za mną usiadła pewna niewiasta. Przedstawienie się skończyło, biliśmy głośne brawo. Odwzajemniłem dziewczynie uśmiech i zeskoczyłem z pomnika. Zmierzaliśmy na nocleg.

Zadzwoił budzik. Co on głupi? Noc była taka krótka? Zbyt szybko śpię. Słońce wschodziło. Spakowałem się i poszliśmy na śniadanie. Wysię się w autobusie. Chyba każdy z nas tak myślał. Sandomierz był blisko. Nie zdążyłem nawet porządnie zasnąć. Świeże powietrze zadziało orzeźwiająco. Wisła. Przeszliśmy się wąwozem Królowej Jadwigi. Dookoła wystające korzenie drzew. Ta wspaniała przyroda. Komary. Szedłem szybko, by stracić jak najmniej krwi. Wyszliśmy z między drzew. Krwio pijcy też. Weszliśmy do gotyckiego kościoła. Jednego z niewielu, które w środku zachowały surowy styl. Większość jest wypchana grubymi, barokowymi aniołkami. Świątynia okazała się azylem. Od komarów. Opuściliśmy nasz azyl i otoczeni krwio pijcami ruszyliśmy w stronę ratusza. Sandomierz nie przypominał miasta z „Ojca Mateusza”. Był rozkopany. Praktycznie nie dostrzegało się zabytków, przy którym nie trwały prace remontowe. Nie było tu komarów. Obejrzelśmy nieremontowane obiekty. Było tego niewiele. Na szczęście przy ratuszu nie wznosiły się rusztowania. Jedyny poza gotyckim kościołem wyjątkowy budynek tego miasta.

Następny przystanek – Lublin. Kiedy tylko opuściłem autobus spodobała mi się brama wprowadzająca do miasta. Trafiła nam się wspaniała przewodniczka. Poznaliśmy wiele tutejszych legend i mitów. Zwłaszcza ciekawy był kamień nieszczęścia, który jak się nie trudno domyślić, każdemu kto go dotknął długiego i szczęśliwego życia nie przynosił. Gdy zobaczyłem ten obiekt, od razu na nim usiadłem. Reszta trzyma się raczej od tego z daleko. Czyżby wierzyli w cudowne kamienie? Ciekawe co na to Watykan? Bazylika Dominikanów, mimo, że niewyremontowana tak jak być powinna sprawiała wrażenie zacnej świątyni. Dlaczego bazylika? W swoim zbiorze relikwii posiadała drzazgę z Krzyża Chrystusowego. Gdyby pozbierać wszystkie takie drzazgi, nie mówiąc już o całych krzyżach to powstałby nie mały las. Poznaliśmy również legendę o pewnej Jadwidze, która przez naleśniki spaliła całą gotycką część miasta. Łącznie z dzisiejszą kamienicą Palikota. Nadszedł czas opuszczenia Lublina. Jeżeli Białystok jest tak samo piękny, wstyd mi będzie, że tak mało znam miasta wschodu Polski. W okolicy Radzyna Podlaskiego zatrzymaliśmy się na nocleg. Czekala na nas obfita kolacja. Jeżeli ktoś nie był głodny najadł się do syta.

Kolejna pobudka wczesnym rankiem. Czekala nas przeprawa przez Szlak Tatarski. Na początku mieliśmy zwiedzić meczet, jednak była tam już pewna grupa, a ze względu na jego niewielkie rozmiary, nie zmieścilibyśmy się wszyscy, więc pierw obejrzelśmy muzułmański cmentarz. Przewodnik był wyrośniętym Tatarem. Spuścizna po polskich przodkach. *Kiedyś pewna pani spytała mnie, jak mogę mówić o sobie, że jestem Polakiem, skoro jestem Tatarem? Odpowiedziałem, że moi przodkowie zamieszkują tę ziemię od XVII wieku i mam na to heraldyka, a pani ma drzewo genealogiczne? Nie, ale i tak jestem lepszą Polką od pana. A jak pani ma na nazwisko? Smith.* Przewodnik opowiadał nam wiele takich ciekawostek z własnego życia. W meczecie

również było interesująco. Lubię poznawać inne kultury, z wyjątkiem amerykańskiej i jej podobnej. Niestety nasz przewodnik popełnił błąd, za który nam się oberwało. Nazwał panią Agnieszkę „kolegą”. Później pół dnia się na nas krzychała, nawet za najmniejszą głupotę. Kolejnym punktem w poznawaniu kultury naszych azjatyckich rodaków był obiad. Tatarska restauracja spodobała mi się bardzo. Była zbudowana tak jak cała wioska. Małe domki z drewna. *Jeżeli chcecie zobaczyć czystą Białoruś to tylko tutaj mówił przewodnik.* Ania, towarzyska z Mińska, stwierdziła, że czuję się jak u siebie. Na obiad była ziemniaczana pyza z mięsem wołowym. Tatarskie jedzenie. Niektóre dziewczyny na sam widok zrezygnowały z jedzenia. Mi smakowało. Byłem jednym z niewielu. Może inni są uprzedzeni do Muzułmanów i ich wołowiny? Kobieta, która prowadziła restaurację nie tylko była Tatarką, również tak wyglądała. Mała, ze skośnymi oczyma i specyficznymi rysami twarzy. Kiedy wyjeżdżaliśmy z polskiej Białorusi byłem zadowolony, że mogłem poznać Tatarów. Ciekawe też było, że jako islamiści nie uznawali wielożeństwa. Gdyby rozpętał się Dżihad walczyli by przeciwko swojej ojczyźnie? Ich przodkowie stanęli przed takim wyborem. Wybrali Rzeczpospolitą.

Białystok okazał się równie piękny jak Lublin. Było mi głupio. Specjalnie dużo czasu nie mieliśmy, by podziwiać to miasto. Jednak miło zapisało się w mojej pamięci. Pałac Branickich. Nasz polski Wersal. Wawel nie był tak wspaniały. Kościół katedralny i ratusz też były wyjątkowe. Słyszałem kiedyś, że na wschód od Warszawy nie ma cywilizacji. Dzisiaj w mordę bym strzelił za takie słowa. Koledzy ze wschodu zakupili pamiątki z polski i ruszyliśmy na Dziką Litwę. Po drodze dołączył do nas dyrektor Lenarczyk. Przywitaliśmy go z ogromnym entuzjazmem. Podzielił się z nami swoimi spostrzeżeniami na różne tematy, czyli poprowadził wykład. Kiedy dotarliśmy do granicy była ładna pogoda. Tylko wjechaliśmy do Litwa pogoda się zmieniła. Padał dziki deszcz.

Do Wilna zajechaliśmy w deszczu. Szybko weszliśmy do hotelu. Okazało się, że istnieje pewien problem. Pokoje, które były zarezerwowane dla nas dostali rumuńscy kolarze, więc my, chłopacy musieliśmy spać w kuchni. Kiedy spyaliśmy Litwina, gdzie możemy wziąć prysznic, odpowiedział, że nie sądzi, byśmy potrzebowali się myć. Nie przeszkadzało mi, że musiałem myć się w zlewie. Nie przeszkadzało mi, że otaczały mnie piekarniki, czy zlewy. Przeszkadzało mi, że światła nie dało się zgasić. Może Litwini cywilizacyjnie jeszcze nie doszli do włączników i wyłączników. Może żarówki mieli jednorazowe? Trzeba było je zbić? Owinąłem oczy ręcznikiem i zasnąłem. Lampy świeciły się całą noc. Zgasły gdy weszło słońce. Zaraz po śniadaniu poszliśmy do Pałacu Paców, gdzie mieści się Polska Ambasada. Dostaliśmy dyplomy ukończenia akademii i mogliśmy chwilę rozejrzeć się po budynku, który w dużej części był remontowany. Najbardziej podobała mi się zbroja husarska, jedyny obiekt wewnątrz, który przykuł moją uwagę na dłużej niż kilka sekund. Następnie czekało nas zwiedzanie Wilna. Ujrzałem tabliczkę z litewskim pisarzem Adamusem Mickiewiczusem. Jak te dzikusy mogą tak kraść naszą historię? Wszystkie zacniejsze budynki, czy to sakralne, czy świeckie są polskie. Litewskie to są tu jedynie resztki średniowiecznego grodu. Ostra Brama bije polskim sercem. Dlaczego nasze miasto jest poza naszymi granicami? Ja!ta. *Kiedyś Wilno do nas powróci* przekonywaliśmy się nawzajem. Zawitaliśmy również na pięknym cmentarzu. Polski. Zapaliliśmy znicz, przed grobem Rodzicielki Marszałka i jego sercem. Ku mojemu zdziwieniu, starsza pani, bardzo starsza stanęła naprzeciwko nas i zaczęła mówić wiersze. Okazało się, że ta kobieta zna na pamięć prawie 100 wierszy, które sama napisała. Tęskni za ojczyzną i opowiadając swoje utwory rodakom przenosi swą duszę utęsknioną. Niesamowite jak ta pani mimo tak podeszłego wieku to wszystko pamięta. Udaliśmy się na obiad. W miskach była zimna zupa. Chłodnik. Wypiłem to, jednak nie powiem, by mi specjalnie smakowało. Kiedy odłożyłem puste naczynie przyniesiono ziemniaki, które miałem zjeść razem z tą zimną zupą. Po obiedzie przyszła kolej na pożegnanie się z uczestnikami z Białorusi. Mimo wielu dziewczęcych łez w końcu pojechali. W pamięci zostało mi pożegnanie z Kasią. Na koniec szepnęła mi do ucha: *nacjonalista*. *Zdrowia życzę* odpowiedziałem. Mieliśmy teraz trochę czasu wolnego, który spędziliśmy w wileńskim parku i przed ratuszem. Mimo piękna tego miasta, gorzka pozostawała myśl, że zostało ono oderwane od prawowitej matki. W niepełnym składzie udaliśmy się do hotelu. Tym razem dostaliśmy normalne pokoje. Nawet światło można była włączać i wyłączać bez utraty żarówek. Tej nocy praktycznie nie spaliśmy. Pożegnaliśmy Polaków z Litwy. Pobudka o 3.00 nie była problemem. Wsiadliśmy do autobusu i ruszyliśmy w drogę powrotną. Przez Warszawę. W stolicy opuścili nas towarzysze z Ukrainy. Pożegnanie to obyło się bez większego płaczu. Wschodni Dworzec warszawski różnił się od naszego, wschowskiego wyłącznie wielkością. Teraz, w grupie tylko Polaków z Polski

jechaliśmy na zachód Rzeczypospolitej. Po drodze Dyrektor włączył nam film o zamachu smoleńskim. Najbardziej śmieszył mnie człowiek, którego 10 kwietnia odwiedził Duch Mickiewicza i pomógł mu napisać wiersze o poległych. Zatrzymaliśmy się jeszcze na obiad. Placek węgierski, zaraz po naleśnikach najbardziej popularne danie XIII akademii. Do Głogowa nie dojechaliśmy. Wysadzili nas we Wschowie. Pożegnaliśmy się z pozostałymi i ruszyliśmy w stronę domów.

Nie skończyliśmy. Postawiliśmy kropkę, by zacząć nowe zdanie. Już w przyszłym roku. XIV Letnia Akademia Kultury i Języka Polskiego.

WIERSZE

Konrad Rodak

Parasol

„Otwiera parasol podczas deszczu,
Pęka pod naciskiem słońca
Wody, którą sumienie nie nieba sączy,

Była to pamiątka wyjątkowa, bo niebieska,
Bo jedyna, która trzymała Go przy
Życiu,

Wykopał grób kosmykiem włosów, trumnę z
Własnych kości wyrzeźbił,
Wszystko łzami poświęcił,

Zabrał jedynie nań duszę, związał za
Ręce i nogi,
Żeby Go w oczy nie drapała”

samobójstwo sposobem na życie

Twoje powietrze wraz z wspomnieniem
Stojące na krawędzi bezszelestnego mostu
Zwleka nad wykonaniem wyroku zza barier
Podziwiając widok wolności Pędzące iskry światła
W Twoich oczach dzieci patrzące w zwiędły las
Szukające matek zakopanych pod ziemią uczucia
Rozdzielonych bezczelnie płótnem namiętności

Twój oddech bije w moje szyby połamane
Przez kamienie czarne w oczy wbite
Wlatują cicho do środka Wiatru strumień
Złociste wspomnienia na dwór przez włosy
Bez szacunku ciągnięte za czarne pasemka nienawiści
Uprowadzone zgwałcone puste marzenia

Widok jak na obrazach życiem malowanych
 Gdzie to
 Człowiek wisi na sznurze dostojnie jak kwiat w doniczce
 Ebonitem wykładanym Głowa zamyka się na noc czerwoną
 Spuszczając zamknięte spojrzenie na łzami zalaną
 Strumieniem kołyskami wykładaną podłogę

Pozwól żyć według swojej poezji
 Wiszącym marzeniem wyrytym szpilką na duszy
 Tymi paroma sekundami ciągnącymi się przez wieczność
 Swobodnego latania Ostatniego machania skrzydłami

Ciesz się z chwil które były
 Bo nikt Ci ich nie odbierze
 Nawet po śmierci
 Nawet samobójczej

„Mieszkamy w budynkach z kości,
 Sklejanych krwią,
 Żeby wyjść, trzeba połamać żebra,
 Wyrwać kręgosłup z tylniego muru,

Na ścianach Twoje zdjęcia,
 Które patrzą Twoimi oczyma,

Płaczesz krwią,
 Jakie to piękne, gdy widzisz ból,

W kominku tli się ogień,
 Rozpalony blond włosami,

Za oknem chodnik, po którym
 Chodziłaś,
 Wykładany martwymi głowami,

Są też drzewa,
 Na których śmieją się wisielce,
 Z zniszczonymi butami,
 Wyrastają z nich zgniłe paznokcie,
 Spod których wypęzają motyle,

Po co się chowasz?
 I tak Cię zabiję,
 Skoro serca mieć nie mogę,
 To będę miał ciało,

Bo nie da się żyć bez serca,
 Zwłaszcza tego drugiego,
 Mimo, iż ono martwe

WYDARZENIE***Z wizytą w Głogowie*****Michał Majer**

6 grudnia w atmosferze święta Świętego Mikołaja mieszkańcy Głogowa mieli możliwość odbycia mentalnej podróży do czasów, kiedy dawnym księstwem głogowskim władali władcy z dynastii Jagiellonów. Wszystko za sprawą konferencji naukowej „Głogów w czasach Jagiellonów” zorganizowanej przez Muzeum Archeologiczno – Historyczne w Głogowie. Konferencja podsumowywała i zamykała rok pracy Muzeum pod hasłem „Głogów Miastem Jagiellonów”.

Na konferencję zaproszono wykładowców akademickich m.in. prof. dr hab. Leszka Belzyt, dr Jarosława Kuczer – Uniwersytet Zielonogórski, a dr Kuczer reprezentował także Centrum Badań Historycznych PAN w Berlinie, dr Rolanda Mruczek z Politechniki Wrocławskiej, dr Irenę Mikłaszewicz z Uniwersytetu Witolda Wielkiego w Kownie. O wygłoszenie referatów poproszono również nauczycieli w tym Pana Piotra Sobańskiego. Tytuł Jego pracy brzmiał: „Tradycja jagiellońska w myśli politycznej Józefa Piłsudskiego”.

Wszystkie referaty m.in. o zabudowie Głogowa w czasach jagiellońskich, czy groszu głogowskim Zygmunta Jagiellończyka zostały opracowane i wydane w formie książkowej. Znalazł się więc tam również referat p. Sobańskiego.

Na parapecie opierali się:

Karolina Widera

Sabine Urbaniak

Dominika Miś

Joanna Drzewiecka

Angelika Wojciech

Julia Wycichowska

Michalina Kubacka

Michał Majer

Norbert Czechowski

Konrad Rodak

Parapet podtrzymawał: Tomasz Wojnarowski